

## Nie zapominajmy o naszym bohaterze płk. Ryszardzie Kuklińskim

**Ks. Lucjan Kamiński SDB**

Podczas tegorocznych wakacji w Polsce, (10.VI – 8.VII) trafiłem na „burzę”, ale nie była to „burza w szklance wody”. To był tajfun wokół „Bolka” czyli Lech Wałęsy. Dokładniej było to tornado związane z mającą się ukazać książką „SB a lech Wałęsa” autorstwa S. Cenckiewicza i P. Gontarowicza.

„Osoby te – pisze J. Szaniawski w Naszym Dzienniku z dn. 25.VI.2008 str. 24 wykazały, że są kimś więcej niż jedynie odpowiedzialnymi naukowcami. Wykazali się bardzo rzadką w tym środowisku cnotą męstwa w służbie prawdy historycznej oraz wyjątkowo odporni na plugawe omówienia”. Moim zdaniem autorom tej książki oraz prezesowi IPN-u prof. J. Kurtyce należą się rzesiste brawa, grotulacje i wysokie odznaczenia. „Książka ta m.inn. stawia tezę – pisze pan Szaniawski – że odwołanie w 1992 r. rządu J. Olszewskiego na wniosek Wałęsy oraz jego sprzeciw wobec lustracji, miało motyw, niestety, jak najbardziej osobiste”.

Kto bronił i broni Lecha Wałęsę, choć jeszcze nikt nie czytał tej książki, która co dopiero ma ujrzeć światło dzienne? W obronie Wałęsy murem stanęli ci co są uwikłani w tzw. układy: ci co utrwalali system komunistyczny a do Moskwy jeździli po wskazówki jak utrwaląc nieludzki system.

Moim zdaniem jest wielką przesadą przypisywać wszelkie zasługi panu Wałęsie, gdy chodzi o upadek muru berlińskiego i rozpad bloku sowieckiego. Przesadą jest gloryfikowanie zasług byłego prezydenta Wałęsy, że to tylko jemu i tylko jemu zawdzięczay obecną Rzeczpospolitą. Z tego rodzaju stwierdzeniem trzeba być bardzo ostrożnym i sprawiedliwym. Do upadku „wszechwładnego” czerwonego imperium przyczyniło się wiele czynników.

Przypomnijmy poznański czerwiec 1956 r., kiedy to „proletariat” Cegielskiego wyszedł na ulice Poznania aby protestować przeciwko niesprawiedliwej władzy ludowej. Wówczas to pan Cyrankiewicz jako premier rządu groził odcięciem ręki tym, którzy podniosą rękę na władzę ludową. Polała się wtedy krew niewinna a jedną z pierwszych ofiar był chłopiec, który w pochodzie szedł w swoim ubranku I-komunistycznym.

Potem były jeszcze inne zrywy: rozruchy marcowe w 1968 r., był Radom, były protesty na Wybrzeżu, które też w sposób krwawy były tłumione przez władzę ludową. Tego rodzaju wydarzenia okupione krwią i życiem klasy robotniczej przygotowywały grunt, że pan L. Wałęsa stanął na czele niezależnych związków zawodowych „Solidarność”.

Co do osoby pana L. Wałęsy nie mam zamiaru się wypowiadać bo to już zrobili inne osoby kompetentne. Zresztą każdy już chyba sam sobie wyrobił zdanie słuchając debaty z prawej i lewej strony i kiedy zapozna się z treścią książki p.t. „SB a Lech Wałęsa”. Pozwolę sobie w tym miejscu powtórzyć słowa pana prof. Kamińskiego, który mówiąc o książce autorstwa P. Gontarczyka i S. Cenckiewicza powiedział: „Jedynie co mogę powiedzieć to to, że i tak górą będzie prawda historyczna, a prawda jest po stronie autorów”.

Na uwagę zasługuje też opinia prof. Andrzeja Nowaka: „Ale w tej chwili mijają się z prawdą ci, którzy mówią, że ta książka jest zrobiona niesolidnie, czyli źle, że nie przekonuje ich do najważniejszych wyników tej kwerendy, czyli do faktu, że L. Wałęsa w latach 1970 – 72, ściśle a następnie sporadycznie do 1974 r. współpracował z SB”. Ten sam prof. Nowak dodał, że L. Wałęsa w czasie kiedy był prezydentem przy pomocy swoich współpracowników niszczył bądź

zabierał z państwowych archiwów dokumenty dotyczące TW „Bolka”, to było skandaliczne nadużycie, które stwierdzili nie bracia Kaczyńscy, nie pan minister Z. Ziobro, nie dzisiejsi uczestnicy sporu politycznego, tylko pan minister Kapkowski, pan minister Siemiątkowski i nadzorujący ich prace prezydent Kwaśniewski. To oni ustalili jakie dokumenty prezydent Wałęsa zabrał lub doprowadził do ich zniknięcia (Nowy Dziennik 25.VI.08, str 4).

Nie wolno nam zapomnieć, że wybór kardynała z Krakowa, Karola Wojtyły na stolicę Piotrową w Rzymie był przysłowiowym „gwoździem do trumny” gdy chodzi o rozpad bloku sowieckiego. Kard. Karol Wojtyła powołany z dalekiego kraju znał doskonale filozofię marksistowską i wiedział w jakim kierunku zdąży ten system. W swoim nauczaniu przestrzegał przed niebezpieczeństwem tegoż systemu. On głównie przyczynił się do tego, że blok krajów socjalistycznych z ZSRR na czele rozmiął się drobne. Naczalstwo bloku sowieckiego było świadome tego niebezpieczeństwa ze strony papieża Polaka, dlatego przygotowano na niego zamach.

Były jeszcze inne wydarzenia. Nie zapomnę faktu kiedy to młodzieniec z NRF-u awionetką wylądował na placu Czerwonym w Moskwie w momencie kiedy naczalstwo krajów bloku socjalistycznego odbywało narady w NRD. Ów młody pilot tym samym obnażył słabość militarną systemu obronnego ZSRR.

W „Nowym Dzienniku” z 13 czerwca 08 r. na str. 2 przeczytałem notatkę p.t.: „Karta z historii”; w notatce prasowej czytamy; „13 czerwca w Warszawie urodził się Ryszard Kukliński, pułkownik Ludowego Wojska Polskiego, następcą szefa zarządu operacyjnego Sztabu Generalnego Wp, który zdecydował się na współpracę wywiadowczą z CIA na rzecz NATO. Otrzymał także stopień pułkownika zrmii amerykańskiej. Planował zawiązać w Wojsku Polskim spisek przeciw ZSRR, jednak CIA odwołała go od tego. Proszono go natomiast o przekazywanie informacji mogących zaszkodzić Związкови Radzieckiemu. W latach 1971-81 Kukliński przekazał ponad 40 tysięcy stron najbardziej tajnych dokumentów dotyczących Polski, ZSRR i Układu Warszawskiego. W obliczu bezpośredniego zagrożenia Kukliński wraz z żoną i dwoma synami został ewakuowany z Polski przez CIA na krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego”.

W. Casey, szef CIA nformował prezydenta R. Reagana pisząc w swoim raporcie: „Nikt na świecie w ciągu ostatnich lat nie zaszkodził komunizmowi tak jak ten Polak”. Chodzi oczywiście nie o L. Wałęsę ale o płk. R. Kuklińskiego.

Mamy przed sobą dwóch ludzi: płk. R. Kuklińskiego i pana L. Wałęsę. Ten pierwszy t.j. płk. R. Kukliński miał już życie ustabilizowane, miał żonę, dwóch synów, miał willę w Warszawie, miał jacht, wysoką pozycję społeczną, a więc miał pieniądze. Do szczęścia chyba już nie potrzebował niczego. Ten człowiek, kiedy zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie grozi naszej Ojczyźnie, z pobudek patriotycznych zrezygnował ze wszystkiego. Z narażeniem życia własnego i rodziny poszedł na niebezpieczną współpracę z CIA, za co nie przyjął ani jednego centa od Amerykanów, bo mu nie chodziło o pieniądze. Ta decyzja obrony Ojczyzny kosztowała go bardzo dużo, zmuszony był uciekać z kraju, zaocznie został skazany na śmierć. Dwaj jego synowie zginęli w okolicznościach do dziś niewyjaśnionych. Kukliński zmarł na obczyźnie. Nie dane mu było wrócić do

**Ks. Kamiński - Kukliński do str. 21**

## Wiadomości Polonijne

### Ononharoia czyli ucztą głupców

**Dr. Wojciech A. Wierzewski**

Chyba nie jestem odosobniony w odczuciu, że nad nową powieścią Henryka Skwarczyńskiego, „Uczta głupców”, unosi się niespokojny duch naszego XVIII – wiecznego podróżnika i filozofa, autora „Rękopisu znalezionego w Saragossie”, którego głęboko fascynowała Iberia i Orient, magia i religia, konspiracja rozbitego emiratu. Czy to zła wiadomość, kojarząca się z lamusem i starymi, zakurczonymi Polkami? Ależ skąd, skoro ów ukłon w stronę Jana hr. Potockiego poczyniony został przez autora „Słomianego morza”, syna łódzkiego literaturoznawcy, który przejął po swoim ojcu pasje erudycyjne, czyli żonglerki reminiscencjami z zaliczonych lektur, podróży i intelektualnych przemyśleń. „Uczta głupców”, której nie waham się określić mianem literackiego wydarzenia sporej miary, jakiego na emigracji nie pamiętam, nie jest w dodatku hermetyczną lekturą „tylko dla koneserów”. Wręcz przeciwnie: książka zaczyna się niewinnie, jak „czytało dla ludzi”, nie ujawniając od razu bagażu treści, jaki ze sobą ostatecznie niesie.

Usadawia czytelnika w łatwych do zidentyfikowania się realiach, chicagowskiego baru noszącego nazwę „My Mistake”, gdzie bawiące się już drugą dobę, bez nocnej przerwy, grono bywalców w średnim wieku (którzy urwali się ze swoich domów pod pretekstem, „weekendowego wyjazdu na ryby”) rączy się bez końca zabawnymi i paradoksalnymi dykteryjkami, których racjonalność i logika, tak jak życiowe prawdopodobieństwo, nie są wcale sprawą najważniejszą. W atmosferze podgrzanej przez opary wypitego bez miary alkoholu ceni się raczej refleks, pomysłowość i szczególne poczucie humoru, zaś trans, w jakim znajdują się bohaterowie, przypomina partyjkę pokera w chwili finałowej licytacji. Znajomi wydają się także, na pierwszy rzut oka, powieściowi bohaterowie, jakże typowi dla dzisiejszej Ameryki, wciąż „młodzi duchem, gotowi do stawienia czoła każdemu wyzwaniu i przygodzie”, tawerniani Supermani w każdy piątek, z których jednak szybko uchodzi para wraz z nastaniem rutyny poniedziałku.

Ze wstępnego rozłożenia kart czyli rzucenia na stół pierwszych wątków, najbardziej przypadła mi do gustu opowieść Odeda Rubarbsteina o przygodzie przeżytej w Indiach, kiedy to rejsowy pociąg, którym podróżował do Agry, przepołożył wielbłąda ociągającego się na torach, w następstwie czego dwie jego połówki spokojnie „powędrowały sobie w przeciwne części świata”, nie budząc wśród świadków wypadku specjalnego szoku. Jeśli zaś próbka ta zaniepokoiła czytelnika, pragnę od razu uspokoić, że w tym całym szaleństwie jest metoda. Henryk Skwarczyński pozwala sobie raz po raz na mocne powiewy surrealizmu w swojej powieści (kiedy to np. lecąc samolotem z Cervantesem i prowadząc z nim dialog, stoicko przyjmuje nieoczekiwaną woltę zdarzeń, w której jego partnera wyciąga na zewnątrz, ku słońcu, para potężnych strusi). Naszego autora zdecydowanie bawi częste przywoływanie osobistości z literackiej bądź historycznej tradycji, wplątanych tutaj do kręgu aluzji swoich bohaterów i ich barwnej narracji. Daje w ten sposób wyraz swojego długu wdzięcznej pamięci wobec nowel Boccaccia, płócien Botticelliego, epiki Cervantesa czy zasadzek Velasqueza, przyznając, że to im zawdzięcza swoje wyjątkowe duchowe przeżycia bądź nieoczekiwane artystyczne inspiracje.

**Wierzewski do str. 23**

### Dobry pomysł

**Aleksandra Podhorecka**

Gazeta Niedzielną

Nie wiem, może starzejąc się zmienia się perspektywa spojrzenia na życie, ale patrząc na to, co się wokół nas – i nie tylko – dzieje, myślę sobie, że jednak życie za mojej młodości było łatwiejsze. Nie pod względem materialnym oczywiście, bo wyrastałam w powojennym świecie wstrząśniętym brutalnością jednego narodu do drugiego, jednej ideologii do drugiej, gdzie przetrwanie nie było łatwe. Dla polskiej emigracji wojennej, którą los rzucił pza granice Ojczyzny, życie było bardzo ciężkie zarówno materialnie, jak i psychicznie. Ostatecznie na skutek działań wojennych i układów politycznych stracili wszystko. Wszystko, oprócz wiary w Miłosierdzie Boże, która towarzyszyła żołnierzom, zesłańcom, więźniom, pomagając im przetrwać najstraszliwsze momenty ich życia.

Wyrastaliśmy iwęc, my dzieci emigracji wojennej, w trudnych warunkach materialnych, ale ze świadomością, że zło jest złem, a dobro dobrem. Istniały w naszym domu wyraźne granice dopuszczalnego zachowania, przekroczenie których niesło za sobą jasno sprecyzowaną karę. Trzy środowiska wychowawcze: dom, kościół i szkoła współpracowały ze sobą, aby podtrzymywać wspólną linię wychowawczą. Autorytety – rodziców, księdza i nauczycieli – były dla nas oszczędne. Można było z nimi dyskutować, narzekać na nie, buntować się przeciwko nim, ale w końcu ich decyzje były najważniejsze.

Wyrastałam w licznym gronie rodzeństwa, wolne więc chwile spędziłyśmy razem, bawiąc się, dyskutując, czy kłócąc się. Jeździliśmy na kolonie zuchowe, biwaki i obozy harcerskie. I dobrze nam było razem. Z polskimi rówieśnikami ogniska w ogrodzie, piekąc w nich kartofle i kiełbaski. Urządzaliśmy podchody.

Bardzo podobny styl życia prowadziły nasze dzieci. Przez długie lata nie było w domu telewizji, ale były książki i gry planszowe. Oraz świadomość, że są pewne granice w zachowaniu, których przekroczyć nie wolno. I staraliśmy się dzieciom przekazać pwajaną w nas w młodości właściwą hierarchię wartości.

I nie wiem co się w naszych życiach zmieniło, a jednak młodzi dzisiaj inaczej patrzą na życie. Wiadomo, każde pokolenie wydeptuje swoje ścieżki i fakt ten prowadzi do odkryć i wspaniałych wynalazków, które niewątpliwie ułatwiają życie. A mimo to bogaci się bogacą, a biedni biednieją i przepaść pomiędzy nimi wcale nie maleje.

Życie młodego pokolenia na Zachodzie, choć łatwiejsze, dogodniejsze, bogatsze, nie wydaje się radośniejsze. Jakoś te wszystkie osiągnięcia technologiczne – komputery, telefony komórkowe, i-pody – nie niosą ze sobą gwarancji szczęścia.

Nieraz patrząc na młodych wałęsających się bezmyślnie po – jakże dziś popularnych galeriach sklepowych – zastanawiam się nad tym, jakie oni mają inne opcje? Jak mogą spędzać swój czas wolny? Czym się zająć, aby wykorzystać go sensownie, przyjemnie i pożytecznie? Nie ma w Anglii – amozę też i w innych krajach europejskich – sal młodzieżowych, gdzie młodzi mogliby się spotykać bądź po godzinach szkolnych, bądź już jako młodzież studiująca czy pracująca. Gdzie mogliby rozwijać swoje zainteresowania artystyczne, tworzyć zespoły muzyczne, grać w drużynach sportowych, dyskutować na temat przeczytanych książek, czy obejrzanych filmów. Mało jest klubów sportowych, amatorskich zespołów teatralnych, kółek literackich. Ulubionymi – i praktycznie jedynymi – miejscami spotkań są angielskie puby, gdzie jest strasznie głośno, a piwo sporo kosztuje oraz kluby

**Podhorecka do str. 21**